

Mój las

Od wczesnego dzieciństwa to był mój las. Tak go w myślach nazywałem - mój las. Od kiedy mały modrzewiowy lasek nieopodal wsi „nie wystarczał” na podchody, dziecięca ciekawość zapędziła mnie pod te cieniste korony. Wnętrze tego lasu wyglądało jak mroczny romański kościół, w którym z rzadka tylko przebijało słoneczko przez korony drzew jak przez wąskie okienka. Las był wielki, ciemny, lecz mimo że wywoływał lęk przecież lubiłem tam chodzić i robiłem to coraz częściej. Z biegiem czasu, mimo iż tak wielki, poznałem go jak przysłowiową „własną kieszeń”. Znałem w nim wszystkie duże gniazda. Wiedziałem, w którym jest lęg myszołowa, a w którym jastrzębia. Znałem miejsca, gdzie legły się drozdy, gdzie rosły widłaki i gdzie można spotkać orzesznicę. Z dziecięcym zapałem potrafiłem nieraz godzinami czatować na chwilę, gdy zmieniają się w dziupli wysiadujące dzięcioły czarne. Potrafiłem wiele czasu poświęcać na obserwowanie karmiącego dzięcioła dużego. Trwałem nieporuszony mimo kłujących bezlitośnie komarów i wszędobylskich mrówek.

Wiosna w moim lesie. Nie zapomnę jej nigdy. Runo jak kolorowa chusta biała od zawilców, żółta od ziarnopłonu, jakby poplamiona fioletem przyłasczek i kokoryczy i wątlą zielenią śledzienic. Pomiędzy tymi pysznymi barwami kopytnik ze swym skórzastym, połyskującym liściem skrywającym pod sobą kwiat, o który nikt by go nie podejrzewał. Bluszcz - wierny towarzysz siwych buków. Nawet ostra zima nie jest w stanie oddzielić go od potężnych przyjaciół. A oni są dla niego tak łaskawi, że pozwalają mu wpełzać na swe pochylone grzbiety wysoko, i ożywiać stalową korę ciemną zielenią liści.

Jesień przychodziła do mojego lasu cicho, niepostrzeżenie. Gdzieś nieśmiało zaczął żółknąć klon. Bukowe liście traciły swą intensywnie zieloną barwę, bledły i szarzały aby przemienić się w płomienną czerwień żywo kontrastującą z zielenią sosen i brązem dębów. Jesieni nikt nie witał, tylko pierwszeńek odmierzał swoje miarowe „clip - clap” jak kapiące krople - ale on tak zawsze. Jesienią właśnie spotkałem borsuka. Spostrzegłem go o zmierzchu, gdy „toczył” swe pulchne ciało przez las, a wschodzący księżyc odbijał swe promienie w jego srebrzysto - popielatym futerku. Las rósł i ja także. Ukończyłem technikum i zdałem na studia. Tymczasem w moim lesie tworzono rezerwat, znalazł się w granicach parku krajobrazowego. Zacząłem szukać wiadomości o nim w literaturze. Okazało się, że mój las to buczyna na granicy zasięgu, że badał te tereny sam profesor Dominik Fijałkowski. Postanowiłem również i ja wnieść swój wkład do nauki. Powziąłem postanowienie, że od najbliższego sezonu wegetacyjnego postaram się zbadać i opisać, co się tylko da w moim lesie. Wczesną wiosną wierny powziętemu postanowieniu wyruszyłem w las uzbrojony w szkiełko i oko, i w całą naukową aparaturę pojęciową z łaciną włącznie.

Stare buki pewnie drwiły ze mnie śmiejąc się pod wąsem z bluszczu: „Czy to nie ten, co niedawno jeszcze w krótkich portkach plątał się między naszymi korzeniami i objadał malinami? Patrzcie, jaki on teraz mądry, jak groźnie wygląda w tym ubraniu i z tym całym sprzętem na sobie. Lecz pod tą zbroją on jest nadal taki, jaki był. Jest „nasz”. Miały rację. Wszedłszy do lasu znów poczułem się jak dawniej. Myszołów był nadal „mszakiem”, a nie jakimś Buteo buteo, dzięcioł czarny był „turkotem” jak dawniej, a nie Dendrocopos martius, zaś „ptasie wino” zostało „ptasim winem”, mimo, że ktoś mądry nazwał je Mayanthemum bifolium. Znów jak dawniej siedziałem oparty o pień staruszka buku i patrzyłem na rozległe łany zawilców i przyłasczek, wcale nie starając się zmierzyć stopnia pokrycia i towarzyskości. Nadal nie wiedziałem, jak nazywa się ta roślina o kwiatach drobniejszych niż kwiaty zawilca. Co więcej, w ogóle nie czułem, aby polska nauka poniosła z tego powodu jakiś uszczerbek. Za to ja, idąc coraz głębiej w las, stawałem się coraz bardziej smutny. Stwierdzałem bowiem, że jakoś dziwnie wyglądała ta parkowa ochrona w moim lesie. Tam gdzie za moich szczenięcych las rósł zwarty bukowy drzewostan, tak wielki, że czułem się w nim jak mrówka w

zbożu, teraz rosły pojedyncze, smutnie wyglądające staruszki „przestoje”. Żałośnie opuszczonymi gałęziami osłaniały młody podrost następców - przyszłe pokolenia. Szedłem dalej pośród tego parkowego drzewostanu. Oto wielka wyrwa w dachu lasu. Rósł tutaj największy buk. Nazywałem go „Królem Lasu”. Wiatr złamał mu potężny konar korony, powoli usychał. Leśniczy sprzedał go jakiemuś rolnikowi. Ten podobno mordował się z nim ponad tydzień, zanim zdołał pociąć go na kawałki, które mógł udźwignąć. Cóż, buk rósł pewnie kilkaset lat. Teraz pozostał po nim wielki pniak, na którym siedzę ja, wyglądając jak pączek na tacy. U jego stóp kwitnie różowo malutki krzaczek wawrzynka, cudem chyba ocalały. Martwy olbrzym oddaje jeszcze ostatnią przysługę mieszkańcom lasu mając swymi łzami leśne żuki.

Dosyć wrażeń jak na jeden dzień. Wracając przemierzam znowu rozległe łąny zawilców. Teraz już nie są takie ładne. „I tak macie szczęście, że nie można was zmierzyć w metrach sześciennych” - myślę sarkastycznie. Lecz wtem - olśnienie. Trzeba ocalić to, co jeszcze nie zginęło. Te drzewa, które zostały, są całkiem pokaźne. Wymiar pomnikowy dla buka to 314 cm obwodu w pierśnicy... Pędzę do domu po metrowkę. W biegu chwytam też nieudolnie zrobiony plan lasu i wracam pełen nadziei. Podbiegam do pierwszego buka (celowo nie najgrubszego), obmierzam - wynik 267 cm, mało, rozpaczliwie mało. Kolejny - 277 - cm. już lepiej, ale jeszcze wciąż brak prawie 40 cm. Następny - 276 cm. Zmierzam do grubszego drzewa - 278 cm - wciąż mało. Moje poszukiwania stają się chorobliwą, maniacką pogonią od drzewa do drzewa z metrowką w ręce. W końcu daję za wygraną, nie mam złudzeń, najlepszy wynik to 289 cm. Obmierzyłem kilkanaście drzew, jak mi się wydawało, najgrubszych. Nie ma co się oszukiwać, żadne z nich nie ma w obwodzie magicznej grubości 314 cm. Aby ją osiągnąć nawet najgrubszy buk musi jeszcze długo rosnąć, wiele lat, a przez ten czas nie chroniony na pewno padnie pod piłami „dzielnych drwali”.

Wracam do domu przygnębiony. Właściwie nie ma się o co martwić, cóż znaczy ten kawałek buczyny, podczas gdy gdzieś indziej padają pod piłami drwali lasy tropikalne czy Puszcza Białowieska. Ekosystemy o wiele większe i cenniejsze niż ten niewielki las. Tak, ale ten las jest mój. Wraz z nim ginie również część moich wspomnień. Jedna z najpiękniejszych.

W ostateczności można doczekać, aż drzewa urosną do rozmiaru pomnikowego. Choć szczerze wątpię, czy dożyją tej chwili.

Krzysztof Wojciechowski

Las, który opisałem znajduje się w granicach Skierbieszowskiego Parku Krajobrazowego na terenie obecnego województwa lubelskiego.